

SZAMAŃSKA SERIA

ANETA JADŁOWSKA



PIEKIELNA
ORTOGRAFIA



SON
imaginatio



SZAMAŃSKA SERIA

ANETA JADOWSKA



PIEKIELNA
ORTOGRAFIA



SON
imaginatio



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PIEKIELNA
ORTOGRAFIA

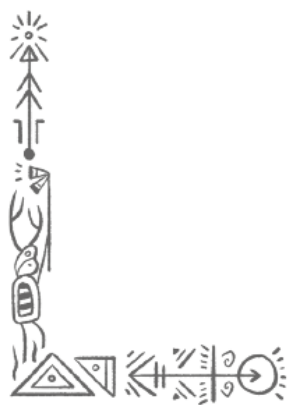


SZAMAŃSKA SERIA

ANETA JADOWSKA



PIEKIELNA ORTOGRAFIA



Kraków 2021



DORA

Odliczałam dni do tej upragnionej chwili! I właśnie dziś, w piękny czerwcowy czwartek, mogłam odprowadzić wózek inwalidzki do Jemioły i oficjalnie zakończyć nieznośnie wlekący się czas „gojenia i zrastania” połamanych kości w stopie. Proces, który dzięki mojej magii i magicznej mocy uzdrawiającej Jemioły mógłby trwać tydzień, ciągnął się bite trzy miesiące, ponieważ uzdrowicielka postanowiła „dać mi nauczkę”. Podobno szybka regeneracja sprawia, że jestem lekkomyślna. Cóż, według mnie raczej pozwala mi przeżyć w sytuacjach serwowanych przez życie, ale tym razem niewiele miałam do powiedzenia.

Jemioła rzuciła na mnie urok blokujący moje magiczne leczenie i kości zrastały się w tempie zbliżonym do ludzkiego. Zagroziła też, że jeśli w tym czasie wpakuję się w kolejne kłopoty, skończę w Sanktuarium na wyciągu. Okrutne i nie przystoi uzdrowicielce, gdyby ktoś mnie pytał. Wszyscy mają Jemiołę za miłą, kochaną i wspaniałomyślną babcię, ja jednak potrafiłam wyciągnąć na powierzchnię stalowy i bezwzględny trzon jej osobowości. I dlatego spędziłam ostatnie tygodnie na wózku, oszczędzając tę przeklętą nogę.

– Tylko nie zacznij chojraczyć – marudziła Jemioła, gdy obejrzała stopę i kostkę. – Wciąż jest słabsza, niż powinna. Powinnaś ją teraz solidnie rehabilitować, a nie znów wyczyniać te swoje hocki-klocki.

Energicznie pokiwałam głową, byle tylko uspokoić mamę kwokę w Jemiole. Myślam byłam już przy nawiedzonym domu, który czekał na interwencję moją i Witkaca.

– Słuchasz mnie? – Jemioła złapała mnie za podbródek i pociągnęła, bym spojrzała jej w oczy. Była dobre trzydzieści centymetrów niższa ode mnie, drobna, pomarszczona, z nastroszonymi jak chmura pajęczyn białymi włosami wokół głowy.

– Oczywiście, że cię słucham, Jemioło – zapewniłam. – Będę ostrożna, ale przecież wiesz, że jestem Namiestniczką. Są rzeczy, które muszę zrobić. Mam złośli do złapania i ludzi do ochronienia, jednak zawsze podchodzę do tego z rozsądkiem.

Parsknęła, jakbym opowiedziała najlepszy dowcip w historii.

– Jeśli stopa zacznie boleć albo nie dasz rady utrzymać na niej ciężaru ciała, wrócisz na rehabilitację. I nie będziesz z tym zwlekać, by nie usłyszeć mojego „A nie mówiłam”. Jeżeli stopa znów się zacznie źle zrastać, będę musiała ją połamać. Nie mogę tego robić w nieskończoność, więc w końcu zostaniesz kuternogą, a wtedy sobie nie pobiegasz i nie skopiesz żadnych tyłków.

– To odważne z twojej strony: zakładać, że nie mogę kopać tyłków, kulejąc, albo że potrzebuję do tego nóg – zażartowałam, ale nie trafiłam w poczucie humoru Jemioły.

Obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem i pacnęła w tył głowy, korzystając z tego, że grzecznie pochylałam się w jej stronę.

– Żartowałam, żartowałam! – zapewniłam, unosząc ręce. – Dziękuję za wszystko.

– Do zobaczenia, byle nie za szybko – powiedziała z przekąsem.

Opuściłam Sanktuarium w podskokach, przeskoczyłam kilka stopni tylko dlatego, że mogłam. Wyciągnęłam komunikator i wybrałam numer Asa, prawie przyjaznego demona z sąsiedztwa. Przez ostatnie tygodnie miał oko na nasz mały problem i czekał, aż będę na chodzie. Przed wizytą u Jemioły optymistycznie dałam mu znać, że wreszcie się doczekał, ale

teraz mogłam to potwierdzić oficjalnie. I tak już narzekał, że grzebię się z gojeniem i on by w tym czasie pozrastał te kości trzy razy. Bez wątpienia miał rację. Był piekielnikiem z krwi i kości, a ja pechową wiedźmą.

– Ahoj, mam zielone światło, możemy wkraczać do akcji! – Praktycznie tańczyłam na chodniku, tak mnie cieszyło, że mogę to wreszcie powiedzieć.

– Wolałbym, żebyś nie reagowała aż tak entuzjastycznie – mruknął As. – Pamiętasz, że mamy tu opętanie, nawiedzenie i zagrożenie ludzkiego życia, i w ogóle coś mało przyjemnego, a nie okazję do zabawy?

– Łajza. To jak, dzwonić po Witkaca i Sępa?

– Taaa, niech się zajmą tym bezcielesnym paskudztwem, ja się skupię na demonie. A ty będziesz patrzeć na nasze bohaterstwo i ładnie wyglądać.

– Łajza i dupek – parsknęłam. – Tylko poczekaj, na treningi też już mam zielone światło, więc niedługo skopię ci tyłek i grzecznie odszczekasz te słowa.

– A nie tak się to wszystko zaczęło? Może powinnaś poszukać nowej techniki walki? Twoje delikatne stópki najwyraźniej nie znoszą dobrze kontaktu z naszymi twardymi, piekielnymi zadkami – zakpił.

– Za godzinę pod domem szajby. Szykuj się na demoniczny bajzel – powiedziałam, ucinając tę słowną przepychankę, bo dawała mu zbyt wiele radości.

Mruknął coś i się rozłączył, a ja zadzwoniłam do Witkaca, by zaprosić go na imprezę. W końcu to dzięki niemu i Sępowi wiedzieliśmy o tym, co się działo w niepozornej kamienicy w Thornie.

No dobra, może As miał trochę racji – po tygodniach wymuszonej bezczynności na wózku odrobinę za bardzo cieszyły mnie kłopoty, w które popadł jakiś smutny dureń.

– Hej! Robota czeka! Duchy do odesłania, demony do wyegzorcyzmowania! – zawołałam na powitanie.

Witkacy westchnął ciężko i powiedział:

– Mam tylko kilka godzin. O szesnastej muszę odebrać córkę ze szkoły.

Są rzeczy, do których wciąż się nie przyzwyczaiłam. Jak ta, że mój przyjaciel i do niedawna partner w policji ma córkę. I to nastolatkę. Prawdopodobnie niewiele nastoletnich dziewczyn oczekuje, że ich ojciec będzie je odbierał ze szkoły, ale nie zamierzałam mu tego mówić. W końcu co ja wiedziałam o dzieciach.

– Zdążymy, to szybka robota – zapewniłam. – Co może pójść nie tak?

– Cokolwiek złego się wydarzy, będzie to twoja wina – odparł. – Kusisz los.

Możliwe, że kusiłam. Ale to, co się stało w następnych godzinach, nie było moją winą. Ot, kumulacja szajby i pecha. Tak to sobie tłumaczę...

*

Skryłam się w bramie kamienicy stojącej naprzeciwko tej nawiedzanej. Wołałam nie rzucać się w oczy, dopóki nie pojawi się reszta ekipy. Wbrew temu, co sądziła o mnie Jemioła, nie byłam głupia ani szalona. Znałam swoje możliwości. Może mogłabym w pojedynkę zdjąć demona, ale wobec duchów byłam bezradna. Zwłaszcza tych. Przeciętne duchy nie zdołałyby mnie skrzywdzić, jednak te, zdaniem Witkaca, ćpały demoniczną energię i trudno przewidzieć, na co je stać.

Pierwszy pojawił się Witkacy. Zaparkował swojego rzęcha przy krawężniku. Żeby otworzyć drzwi, musiał odkręcić szybę, wystawić rękę i szarpnąć za zewnętrzną klamkę. Nie wiem,

jakim cudem ten jeep jeszcze jeździł, podejrzewałam samochodową odmianę nekromancji.

Witkac wysiadł i skierował się prosto do mojej kryjówki, jakby dokładnie wyczuwał, gdzie jestem. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, jak niesamowity czasem bywał. Jeszcze rok temu nie wiedział, że magia istnieje, że sam jest magicznym obdarzonym szamańską mocą, ale szybko się odnalazł w nowej rzeczywistości. Jakby był szkiełkiem w kalejdoskopie, które wreszcie wpadło w odpowiednie miejsce. Wszystko znosił ze spokojem graniczącym ze zblazowaniem, melancholijnie wzruszał ramionami i robił swoje. Tęskniłam za czasami, kiedy pracowaliśmy razem każdego dnia. Był najlepszym partnerem, jakiego miałam przez wszystkie lata w policji.

Dziś żadne z nas nie figurowało już na policyjnej liście płac. Ja odeszłam sama. On załapał się na wcześniejszą emeryturę dzięki małym machlojkom Anity, naszej do niedawna szefowej. Alternatywą była dyscyplinarka. Nie mógł powiedzieć prawdy – że nie stawiał się na przesłuchaniu, ponieważ jego pozbawione życia ciało czekało, aż jego duch zdoła uratować córkę w Zaświatach i przejść inicjację szamańską. Takie zdarzenia nie mieszczą się w klasyfikacji komisji dyscyplinarnych. Trochę się martwiłam, jak Witkac zniesie tę zmianę, ale wydawało się, że przyjął ją ze spokojem, jak wszystko inne. Trochę jakby zeszcupiał, a cienie pod jego oczami nieznacznie się pogłębiły, ale może po prostu częściej zarywał noce?

– Czekamy? – zapytał, opierając się o ścianę obok mnie.

– As zaraz się zjawi. Miron też się zapowiedział, jedzie ze szkoły Nisima.

– Będzie aż taka zadyma? – zapytał bez strachu.

– Raczej nie, jest przewrażliwiony. Wszystko przez ten wózek inwalidzki – wyjaśniłam.

– No tak. – Skinął głową i wbił wzrok w kamienicę, z której powodu się tu znaleźliśmy.

Stuletni budynek wyglądał niepozornie. Kremowa fasada była ładna i zadbana, z bladozieloną stolarką okienną i dwuskrzydłowymi drzwiami, ozdobionymi półokrągłym witrażem z wizerunkiem pawia mieniącego się kolorami w świetle słonecznym. Na parapetach stały skrzynki z kwitnącymi pelargoniami. Kamienica mieściła się ledwie przecnicę od siedziby Starszyny, a od Szatańskiego Pierwiosnka i mojego mieszkania dzieliło ją kilka minut spacerkiem. Wąska, wciśnięta między dwie większe i wyższe, liczyła cztery piętra i osiem mieszkań – od oznaczonego zerem mieszkania zarządcy budynku po numer siódmy na samej górze. Nic podejrzanego. Przynajmniej do czasu, kiedy nie użyło się znaku widzenia. Wtedy kamienica wyglądała zupełnie inaczej.

Przez szparę nad progiem wejściowym przesączała się demoniczna energia (miazmaty, jak nazywali ją Sęp z Witkacem), która otaczała budynek wiśniową poświatą, pulsującą w regularnym rytmie, jakby kamienica oddychała. Magia śmierci zabarwiała ciemnoczerwonymoblask odcieniem fioletu. Dzięki Witkacemu dostrzegłam jeszcze więcej – kiedy złapał mnie za rękę i użyczył mi swojej magii, zobaczyłam duchy. Były wszędzie, tłoczyły się przed budynkiem, wyłaniały ze ścian, a w środku, według szamana, znajdowało się ich jeszcze całe mnóstwo. Potrafił je wyczuć, nawet kiedy ich nie widział.

– Dziwne... One powinny tak wyglądać? – zapytałam zaskoczona ich gładkimi, jakby pozbawionymi indywidualnych rysów twarzami. Przypominały eteryczne manekiny.

Witkacy pokręcił głową.

– Nie powinny. Za długo są pod wpływem demonicznej magii. Tyle się jej naćpały, że nie pamiętają, kim były za życia. Nawet nie gadają. Żaden nie jest już związany ze swoim imieniem na tyle, bym mógł go użyć do odesłania... Oczywiście gdybym znał ich imiona. To postępuje, kilka tygodni temu duchów było mniej i były w lepszej kondycji. Najwyraźniej energia demoniczna jest jak heroina dla duchów, wyniszcza je i zmienia w ekto plazmowe zombie. Rzadkie przypadki, solidnie się naszukałem, zanim znalazłem w źródłach choćby wzmiankę na ten temat. Proces jest nieodwracalny.

– Ale dasz radę je odesłać, gdy są w tym stanie?

Wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję. Znaleźliśmy rytuał. Sęp włada magią Pierwszych, pierwotną i potężniejszą niż moja. Otworzy szeroko bramę i wyślemy je jednym transportem do Zaświatów. Powinno zadziałać.

– Czyli zaszczyci nas swoją obecnością? – zapytałam trochę złośliwie.

Sęp był duchem opiekuńczym Witkacego, a przy okazji wyzwalaczem migreny i wrzodów. Miał też prawdziwy talent do czochrania mnie pod włos, co sprawiało mu dziwną przyjemność. Najwyraźniej to był sport ekstremalny jego wyboru.

– Twierdzi, że jest w drodze – odpowiedział Witkacy, ale w jego głosie nie usłyszałam pewności.

– A jak sprawa z Kojotem? – zapytałam.

Witkacy niedawno opowiedział mi o nowym, poważnym zagrożeniu wiszącym nad Toruniem. W okolicy kręcił się Pierwszy, mityczne i niemal boskie stworzenie pamiętające początki czasów i Ziemi, a przy tym niezrównoważony trickster, który miał jakieś tajemnicze porachunki z Sępem. Gdyby to zależało ode mnie, przewiązałabym Sępa kokardką

i mu go wręczyła, aby reszta mieszkańców była bezpieczna, ale ponoć sprawa była bardziej skomplikowana i to Sęp miał zaszczyt być tym dobrym. Co niespecjalnie napawało mnie optymizmem.

– Kręci się. Miesza. Sęp goni w piętę, ale nie wtajemnicza mnie w szczegóły. Widać nie jest to rozprawa dla takich kmiotków jak ja. Z tego, co wiem, Sęp ściga Gniew i Smutek, a Kojot odpierdala numery, jakby to dla niego była jakaś pokręcona gierka. Ostatnio ostrzelał mój samochód.

Spojrzałam zaskoczona na jeepa. Nie widziałam śladów po kulach, ale też nie wiem, czy zauważyłabym je wśród tych wszystkich plam rdzy, wgnieceń, placków szpachlówki i odprysków farby.

– Z łuku, uwierzysz? – dodał Witkacy spokojnie. – Zbił mi boczną szybę. Grot wbił się w siedzenie pasażera. Nawet nikogo nie było w samochodzie. Zostawił nam notatkę, byśmy nie przegapili, że to jego sprawa. Jakby na liście debili, którzy mogą strzelać z łuku w mój samochód, figurował jeszcze ktokolwiek oprócz niego.

– A Gniew i Smutek? – zapytałam, bo obecność hasających po mieście dwóch rdzennych amerykańskich demonów, czy też personifikacji emocji, potężnie mnie niepokoiła.

– Sprawa jest w toku. Dałem znać Konstancji, będzie szukać prawidłowości na ostrym dyżurze. Halinka z komendy powiadomi mnie, gdyby nagle wzrosła liczba telefonów alarmowych, które mogą pasować do ich *modus operandi*. Ale na razie czekamy.

– Chujowo – przyznałam.

– Ano – przytaknął melancholijnie. Zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. – Cholera, jeśli to się przeciągnie, będę miał przesrane.

– Wiktoria ma ile? Piętnaście lat? Poradzi sobie sama z powrotem ze szkoły – rzekłam uspokajająco.

– Wiedziałaś, że chlorowana woda w basenie przyspiesza blaknięcie henny na skórze i degeneruje wplecione w nią zaklęcia? – zapytał pozornie bez związku.

– Nie, nigdy nie miałam henny.

– My też nie wiedzieliśmy. A teraz Wiktoria jest pozbawiona ochrony i stała się szczególnie wrażliwa na ataki, co te eteryczne kanały wyczuwają z odległości kilometra. Harfiarka dotrze najpewniej w sobotę. Do tego czasu muszę stawać na głowie, żeby młodej nic nie dopadło na moście czy w drodze do domu.

– Nie ma trwalszego sposobu zapewnienia jej bezpieczeństwa? – zapytałam zmartwiona. Chyba chodziłabym po ścianach, gdyby życie mojego dziecka było zależne od rysunków na ciele wykonanych henną.

– Tatuaze. Umówiłem termin na połowę lipca, pierwszy wolny. Magiczni tatuażysty mają zaskakująco napięte grafiki.

– Moje się po prostu pojawiły na skórze – przyznałam.

– Fartownie. I oszczędnie, i bez potrzeby klucia. My nie mamy tyle szczęścia. O, twój demon nadciąga. – Pierwszy zauważył idącego w naszym kierunku Asa. Nawet mnie nie zdziwiło, że przejrzał urok nieuwagi, który demon rzucił na siebie. Witkacy rzadko reagował na magię tak jak reszta magicznych.

As wyglądał, jakby był wkurzony albo niedospany i głodny. Niewykluczone, że wszystko naraz. Słyszałam od Mirona, że demon miał ręce pełne roboty nie tylko z naszym opętanym domostwem, ale też w związku z jakąś grubszą aferą w piekle, gdzie ginęły cenne rękopisy i woluminy. Pewnie nie zaprzętałyby sobie tym głowy, gdyby nie znikwały z doskonale zabezpieczonych lokalizacji, takich jak osobista biblioteczka Baala czy, o zgrozo, prywatne pokoje Lucyfera. Co dziwne, nie

krążyły żadne pogłoski na temat potencjalnego sprawcy. Skradzione książki nie wypłynęły u żadnego handlarza. Wszyscy jednak zastanawiali się, co złodziej zamierza zrobić z cennymi źródłami, zwłaszcza że dotyczyły głównie kontroli nad demonami, a także archaicznych rytuałów przywołania. As traktował sprawę jako osobiste wyzwanie, bo podpadała pod wywiad i ochronę. Nie zapytałam, czy udało mu się złapać sprawcę – gdyby tak było, nie wyglądałby jak wkurzony borsuk.

Zatrzymał się przy bramie i rzucił w naszą stronę:

– Zaczynamy?

– Czekamy na Sępa – odpowiedział Witkacy. – Bez niego raczej nie dam rady odesłać ich wszystkich, a gdy spróbujesz się zbliżyć do sigili, będą wściekłe i niebezpieczne.

Nie naczekaliśmy się. Z głośnym rykiem silnika Sęp – mistrz dyskretnego zbliżania się do celu – zajechał pod kamienicę i zaparkował swojego harleya za wozem Witkaca.

– No, ferajno, do ataku! – zarządził, szczerząc się na powitanie.

Wydawał się zbyt radosny i nadmiernie podekscytowany. Może faktycznie rzuciłam dziś losowi o jedno wyzwanie za dużo?

WITKACY

Nie jestem optymistą. Z zasady i odkąd pamiętam. Zakładam najgorsze i rzadko kiedy miło się rozczarowuję. Nie oczekiwałem od Sępa zbyt wiele, ale najwyraźniej i tak mnie poniosło, bo uznałem, że gramy w jednej drużynie i nie wystawi mnie, gdy zabawa mu się znudzi...

Wcześniej ustaliliśmy plan działania. Ja miałem uspokoić rozbuchane emocjonalnie i niestabilne stado duchów naćpanych wyziewami demonicznej magii. W tym czasie on miał otworzyć możliwie szeroko wrota do Zaświatów i znakować duchy eterem, by zaczęło na nie działać przyciąganie progu i Zaświatów. Nie znaliśmy ich imion, nie wyglądały na chętne do współpracy, więc było to najlepsze rozwiązanie. Tym, czy takie nabuzowane obcą magią duchy nie narobią rabanu po drugiej stronie, mieli się już martwić Przedwieczni.

Sęp siadł na masce mojego jeepa, wyciągnął fletnię Pana i zaczął grać. Pasma srebrzystej magii Pierwszych wypełzały z mojego ducha opiekuńczego i śmigwały w górę, aż sięgnęły bramy. Zaklęcie prześlizgnęło się po mojej skórze, stawiając włoski dęba. Poczułem, że wrota się uchylają, i dostrzegłem błękitny eter płynący po kryształowych schodach, których jeszcze chwilę temu nie było. Melodia sięgała w głąb mojej duszy i budziła dziwną tęsknotę, jakby to tam, w Zaświatach, było moje miejsce.

Usiadłem na chodniku, tuż przy progu kamienicy, by dobrze słyszały mnie zarówno duchy na zewnątrz budynku, jak i te tłoczące się w środku, zwłaszcza okupujące mieszkanie na czwartym piętrze, które stało się źródłem demonicznej magii.

Z plecaka wyciągnąłem kredę i miseczkę na zioła, hojną ich garść skropiłem spirytusem i podpaliłem. Ułożyłem przed sobą swój szamański bęben, tamburyn i bransoletkę z kulistymi dzwonkami. Na wszelki wypadek – trafiały mi się już duchy mające specjalne wymagania w kwestii wysokości dźwięku, które nie reagowały na uderzenia w bęben. Od niego jednak zacząłem. Wystukiwałem obciągniętą skórą pałą rytmem o malowaną membranę. Wyteżałem słuch, próbując w dziwnym szumie tego domu wychwycić jak najwięcej melodii duchów, ale na razie docierała do mnie jedynie kakofonia. Duchy były zbyt pobudzone, za mało zindywidualizowane. Brzmiały tak, jakby każdy z nich wytwarzał teraz tylko chaotyczne buczenie zamiast własnego tonu. Musiałem je uspokoić.

Zacząłem grać kołysankę, której nauczyła mnie Babcia Pająk – rytmiczną, opartą na powtórzeniach, jedną z tych, które sprawiają, że się zaczynasz kiwać do rytmu. Kiwałem się więc i grałem, czekając, aż melodia dotrze do odurzonych duchów. Zajęło im to chwilę, lecz reagowały, zbliżały się, otaczały mnie, nieco zdezorientowane, jednak podatne na melodię. Nie tylko te z ulicy, ale też te z domu, spływały po schodach, chybcząc się w powietrzu jak korkowe spławiki. Czułem, że magia nasycza każdy dźwięk, jaki wydawałem z bębna, że wibruje wokół mnie i wpływa na chaotyczne dźwięki duchów na tyle, że zaczynają do mnie docierać nuty tych znajdujących się najbliżej. Teoretycznie – ze względu na magię Sępa – nie musiałem grać ich indywidualnych melodii odesłania, mimo to ich szukałem. Odruchowo i na wszelki wypadek. Gdyby coś miało mi wybuchnąć w twarz, byłem przygotowany. Widzicie? Kipiałem optymizmem.

Spokojnie, powtarzałem sobie w myślach, żadnych gwałtownych ruchów. Na razie masz odrobinę ich uwagi, ale

w każdej chwili mogą zerwać pajęczynkę kołysanki. Za wcześnie na wplatanie nut czy odsyłanie. Teraz duchy potrzebowały uspokajacza, magicznego głupiego Jasia, który powstrzyma je przed zranieniem Dory i Asa, gdy ci zaczną likwidować źródło opętania. Do niedawna nie miałem pojęcia, że duchy mogą się narkotyzować demonicznymi miazmatami. Jeśli istniała jakakolwiek wiedza na ten temat, to nie trafiła ona do podręczników szamańskich. Dokopałem się jedynie do lakonicznej wzmianki w pamiętnikach osiemnastowiecznego czarnoksiężnika. Ani się nie zająknął, jak takie duchy szybko odesłać, ale rozwodził się o ryzyku, z jakim się wiązało odcięcie ich od substancji odurzającej. Przewidywał gwałtowne reakcje, więc spodziewałem się najgorszego. Kto choć raz próbował odebrać ćpunowi strzykawkę, wie, że sytuacja szybko eskaluje.

Kiwałem się, emanując melancholijnym spokojem. Grałem w kółko, jak zapętłony, tę samą krótką, może pięciominutową melodię, potęgując jej moc powtórzeniami. Magia kocha repetycję. Duchy reagowały na nią zaskakująco dobrze.

Minęło może pół godziny, a otaczały mnie jak głodne przedszkolaki, kiwając się w monotonnym rytmie kołysanki. Kakofonia ich nut i tonów wyciszała się, melodia wygładzała się niczym powierzchnia jeziora po burzy.

Sęp wygrywał na fletni melodię bramy, eter zaczął się przesączać do tego wymiaru. Drobiny błękitu pełzały na chodniku wokół duchów.

Dałem sygnał Dorze i Asowi, którzy czekali na zielone światło, żeby wejść do budynku. Prześlizgnęli się obok mnie do środka pod osłoną zaklęcia – było jak koc o grubych splotach, spod którego jarzyła się jej błękitnawo-perłowa aura i jego ciemnowiśniowa. Duchy nie zwracały na nich uwagi, dobre i to. Mieli wystarczająco duże wyzwanie w postaci demona na czwartym piętrze.

Ucichły dźwięki fletni. Dreszcz magii przeszedł mi po plecach, jakby ktoś przebiegł po moim grobie. Uznałem to za sygnał oznaczający, że Sęp otworzył bramę wystarczająco szeroko i że wszystko jest przygotowane. Nie patrzyłem w górę, by się nie rozpraszać, ale czułem ozonowy zapach eteru. Wybijał się nad gęsty smrodek siarki. Płynnie przeszedłem od kołysanki do melodii bramy i wplotłem w nią pierwsze nuty odesłania dla ducha, który znajdował się najbliżej. Choć zdawały się zbyt proste, jakby osłabione przez coś, co je zmieniło, eter potrafił rozpoznać, do kogo należą. Wyłowił ducha z tłumu i naznaczył wąskim pasemkiem, które obwiązało go jak smycz, oderwało od ziemi, a potem wciągnęło na schody. Duch bez walki popłynął w stronę bramy. Po cichu odetchnąłem.

Zajmowałem się może szóstym, kiedy zrozumiałem, że mam problem. Bez kołysanki duchy traciły koncentrację. Sama melodia bramy nie działała, dopóki nie wplotłem w nią nuty specyficznej dla danego ducha. Sęp w tym, że nie byłem w stanie wpleść jednocześnie setki nut! W swojej technice stosuję bardziej indywidualne podejście.

– Sęp! Tracę ich! W każdej chwili możesz zacząć hurtowe odsyłanie!

Odpowiedziała mi cisza. Obróciłem się i próbowałem dojrzeć Sępa przez przejrzyste ciała duchów. Nie było go na masce mojego samochodu ani nigdzie w zasięgu wzroku. Spojrzałem w górę, myśląc, że może jest przy bramie lub na schodach, ale i tam go nie wypatrzyłem.

Pojawił się kolejny problem. Ułamek sekundy mojego rozproszenia wystarczył, by pękło oczarowanie duchów. Znów grałem, ale wyglądało to tak, jakby moja magia przelewała się jak woda przez durszlak.

– Dora! – krzyknąłem, a ona pojawiła się niemal natychmiast. Właśnie dlatego przez te wszystkie lata ceniłem ją jako

partnerkę.

– Czego ci trzeba? – zawołała.

– Krąg, co najmniej pięć metrów, wokół mnie! Nie mogę przestać grać! – odkrzyknąłem, wracając do wystukiwania kołysanki, by żaden duch nie rzucił się na Dorę.

– Robi się! – I już miała w dłoni olejowy mazak, do rysowania na chodniku i asfalcie lepszy nawet od kredy.

Nie mogła ujrzeć duchów, kiedy nie trzymałem jej za rękę ani nie dzieliłem się znakiem widzenia, ale jakoś musiała je wyczuwać, bo zamiast dążyć do nakreślenia idealnego kręgu, okrążała skupisko duchów, rysując krzywą przypominającą amebę. Krąg nie musiał być perfekcyjny, ważne, aby był zamknięty, odwracałem więc uwagę duchów, dopóki Dora nie dojechała linią do miejsca, w którym zaczęła.

– Starczy? – zapytała.

Kiwnąłem głową. Potrzebowałem jeszcze sigili wzmacniających siłę zaklęcia, jeśli miałem odesłać samodzielnie całą tę hałastę, ale te musiały być po mojej stronie kręgu. Odłożyłem bęben i złapałem tamburyn, którym mogłem potrząsać i uderzać o udo jedną ręką, a drugą zacząłem rysować sigile. Czułem, jak magia wzrasta niczym napięcie elektrostatyczne. Potrzebowałem sześciu minut – zaledwie albo aż tylu. Tamburyn działał, ale nie tak skutecznie jak bęben, więc część duchów przełamała urok i teraz miotła się w ciasnym kręgu. Sigile wzmocniły jego granice, więc uwięzione duchy odbijały się od niego jak od cembrowiny studni. Krąg był wystarczająco szczelny, aby zatrzymywać magię demoniczną. Do duchów zaczęło docierać, że je odciąłem od kocimiętki, dlatego zwracały się wściekle w moją stronę. Kurwa jego eteryczna mać! Złapałem bęben, usiadłem po turecku i dałem z siebie wszystko, starając się ignorować lodowate palce zaciskające mi się na gardle, szarpiące mnie za

włosy, próbujące się dostać pod zaciśnięte powieki. Grałem, jakby od tego zależało moje życie – bo w sumie tak było. Nie powinienem zamykać się z nimi wszystkimi naraz. Nie mogły mnie opętać, ale osłabić już tak – wyrywały strzępy mojej aury szybciej, niż ja oplatałem je eterem. Powinienem mieć wsparcie, ale cóż.

Dosyć cackania się, pomyślałem, czując zawroty głowy. Dosyć kołysania do snu, skoro to przestało działać. Znów grałem melodię bramy, wplatając w nią tyle nut i strzępów ich sygnatur, ile zdołałem. Obce elementy rozpychały melodię, pozbawiały ją harmonii, ale brama wciąż ją rozpoznawała, a eter nadal wyłapywał i łączył dźwięki z duchami, oplatał błękitnymi pasmami następne i następne. Na schodach zrobiło się tłoczno. Na pierwszych stopniach duchy jeszcze się miotaly, ale kiedy zaczynała na nie oddziaływać grawitacja bramy, uspokajały się.

Kolejny, kolejny i kolejny. Wydawało mi się, że nigdy nie skończę...

Czułem, że balansuję na granicy wydrenowania. Chwyciłem myślami strzęp eteru, zanim oplótł się wokół ducha, i przyciągnąłem do siebie. Był lodowaty, bez skrótów – mojej małej narkotycznej kapsułki – wchłaniał się średnio, ale nie mogłem wybrzydzać. Moje ciało atakowane przez duchy miało niższą temperaturę, niż powinno. Trząsałem się z zimna, przestawałem czuć twarz, jakbym wystawił ją na mróz. Mój oddech zmieniał się w obłoki pary, choć była prawie połowa czerwca. Palce zaciśnięte na palce posiniały, ale nie przestawałem. Zacząłem gwizdać zmarzniętymi ustami, wciągałem w płuca kłujące igielkami lodu powietrze i wypuszczałem je jako melodię.

O szesnastej musiałem odebrać córkę ze szkoły, do jasnej cholery, nie będą mi tu duchy ingerować w zobowiązania

rodzicielskie! Jeśli stracę przytomność, to koniec, zapadnę w śpiączkę i na pewno nie zdążę. Nie mogłem więc zemdleć. Nie dam im tej satysfakcji, ektoplazmowym popaprańcom.

Determinacja pomagała. Muzyka gęstniała, melodia oplatała duchy, eter je naznaczał, brama wciągała, a wokół mnie robiło się coraz luźniej i cieplej, mogłem już oddychać bez przeszywającego bólu w zmrożonych płucach. Aż zostałem w kręgu sam. Nie oznaczało to jednak końca roboty. Musiałem sprawdzić, czy któryś przyjemniaczek się nie wymknął. Nikt nie wiedział, co naćpany demoniczną magią duch może zrobić żyjącym. To nie był czas na eksperymenty i poszerzanie wiedzy szamańskiej. Musiałem odesłać każdego skurczybyka.

I zdążyć po córkę do szkoły.

DORA

Na sygnał Witkaca weszliśmy do kamienicy. Nie widziałam duchów, ale czułam chłodny powiew, kiedy je mijaliśmy. As skrzywił się i szepnął:

– On na pewno wie, co robi? Ich jest prawie setka...

– Widzisz duchy? – zapytałam zaskoczona, bo to talent, który kojarzyłam z szamanami i szeptunkami.

– Widzę dusze, nie duchy. Mała różnica, ale dla mnie nie wyglądają jak ludzie, którymi byli, nie pogadam sobie z nimi. Zwykle są światełkiem, ale te tutaj wyglądają... bardziej jak cienie. Dziwne.

Odwróciłam się w stronę Witkaca. Wydawał się pewny swego. Sęp siedział na masce jeepa i liczyłam, że zapewnia mojemu przyjacielowi wsparcie, na jakie ten zasługiwał. Nie ufałam temu gościowi, nie mogłam nic na to poradzić. Miałam wrażenie, jakby pod powierzchnią kryło się u niego tyle warstw i problemów, że pokładanie nadziei w jego lojalności przypomina hazard.

*

Kiedy kilka tygodni temu Sęp powiedział, że znalazł w Thornie opętany i nawiedzony dom, myślałam, że przesadza. As poszedł na rekonesans i wrócił poruszony. Było gorzej, niż Sęp twierdził. Nie od razu zabraliśmy się do egzorcyzmów – nie tylko dlatego, że byłam przykuta do wózka. Gdyby jedynie o to szło, As machnąłby na mnie ręką i posprzątał ten bałagan samodzielnie. Ale tu chodziło o coś nowego, dziwnego. Po obu stronach piekielnych bram. Rekonesans zajął mu sporo czasu, który musiał wykroić w harmonogramie zdominowanym przez

zagadkę kradzieży manuskryptów. Przepytывał świadków, grzebał w starych tekstach, konsultował sprawę ze specjalistami, którzy zgodnie twierdzili, że to, co im opisuje, jest po prostu niemożliwe.

Wykluczone, by budynek emanował demoniczną energią. Niemożliwe, aby duchy się nią szprycowały. Nieprawdopodobne, by mieszkańcy budynku byli cali, zdrowi i nie przejawiali żadnych skutków ubocznych tych nadprzyrodzonych zjawisk. Lecz to akurat było faktem. Sprawdziliśmy.

Nikt nie umarł, nie skończył jako ofiara mrocznego rytuału, nie chorował. Życie kamienicy toczyło się normalnie. As i jego ludzie obserwowali mieszkańców – żaden nie miał lokatora na gapę ani aury czarnoksiężnika, nie był też związany z demonem kontraktem niewolniczym. U żadnego nie podejrzewaliśmy opętania. W budynku unosił się zapach siarki, ale żaden z mieszkańców nie pachniał nią jakoś szczególnie intensywnie. Ba, narzekali na tę woń – winili nieszczelną kanalizację lub gazociąg i składali w tej sprawie skargi do Starszyny. Ta nie kiwnęła palcem, co tylko rodziło teorie spiskowe o jej eksperymentach na obywatelach miasta.

Liczba raportów rosła i dopiero niedawno do Asa dotarło, że coś się jednak nie zgadza. Przez te tygodnie obserwacji ani razu nie zarejestrowali obecności jednego z lokatorów, choć jego nazwisko widniało na domofonie, a co ważniejsze – znajdowało się na liście mieszkańców regularnie wpłacających składki na fundusz remontowy.

Listę tę dostarczyła Asowi pani Kazia – jego najlepsze źródło informacji w nawiedzonym budynku. Zajmowała oznaczone numerem zero mieszkanko na parterze, przypisane do funkcji zarządcy kamienicy, którym wiele lat temu był mąż pani Kazi. Drobną i energiczną osiemdziesięciolatką, z barankiem

fiołkowej od płukanki trwałej i w stylowych neonoworóżowych oprawkach, które upodobały ją do jednej z Atomówek, uważała się za gospodynię tego domu i żywo interesowała się sprawami sąsiadów.

Była też spostrzegawcza. Jako jedyna zwróciła uwagę na kręcącego się wokół budynku Asa. Wiedziała niemal wszystko o każdym mieszkańcu i za odpowiednią cenę była gotowa się tą wiedzą podzielić. Asowi zajęło trzy dni poznanie interesującej ją stawki, bo pani Kazia miała zbyt dużo klasy, by ujawnić ją wprost. Dopiero kiedy As zdołał jej zapewnić najbliższe pięćdziesiąt lat zdrowia i pomyślności, jak również spłatę zadłużenia mieszkania, oznajmiła:

– Chłopcze, zaproś mnie na dobrą herbatę i jakieś zacne ciasteczko, a ja ci wszystko opowiem.

Dotrzymała słowa – przy napoleonkach opowiedziała mu o każdym z mieszkańców. O ich relacjach małżeńskich, romansach, problemach finansowych i zdrowotnych... Zauważyła, że As nie jest usatysfakcjonowany, więc, być może obawiając się, że długie i zdrowe życie przejdzie jej koło nosa, oznajmiła:

– Młodzińcze, może powiedz, co chcesz wiedzieć, to oszczędzisz mi gadania, a sobie słuchania tych wszystkich pierdół.

As wahał się chwilę, po czym wyjaśnił:

– Ktoś w waszej kamienicy zabawia się magią demoniczną i muszę ustalić, kto, kiedy, w jaki sposób i z kim wszedł w konszachty, żeby móc ten proceder zakończyć.

– A duchy mają z tym coś wspólnego?

Asa nie jest łatwo zaskoczyć, ale tym razem i owszem, na chwilę go zatkało.

– Niewykluczone, wydają się nieco przyćpane – odpowiedział w końcu.

– To ja ci powiem, kochaneczku, kiedy dokładnie to się zaczęło. Bo widzisz, mój Ambroży nie żyje od trzydziestu dwóch lat, rozumiesz?

– Tak długo to nie może trwać...

– Toć nie mówię, że tyle trwa. Ale to ma znaczenie. Bo widzisz, Ambroży nie odszedł. Został ze mną, tu, w kamienicy. Na początku go nie widziałam, ale wiedziałam, że jest. Dopiero gdy uzbierał dość energii, zdołał mi się pokazać. I tak sobie żyłam z duchem mojego męża przez ostatnie trzy dekady. Powiem ci, polecam. Sporo małżeństw by skorzystało na takim układzie, jeślibyś mnie spytał. To, o czym mówisz, musiało się zacząć nie dalej niż w połowie marca tego roku.

– Coś panią w tym czasie zaniepokoiło?

– Ambrożego zaczęło nosić. Nie mógł usiedzieć w mieszkaniu. Ciągłe się szlajał po korytarzu i klatce schodowej, jakby mógł, toby lizał drzwi do szóstki...

– A potem się zmienił? Zdegenerował? – dopytywał As, pamiętając dziwne, wyblakłe dusze, które widział wokół domu.

Pani Kazia prychnęła.

– Tak daleko to nie zaszło. Zorientowałam się, że coś mu szkodzi, i zrobiłam, co trzeba, żeby się głuptas nie przejechał. Wystarczyło kilka kilogramów soli himalajskiej i siedzi sobie bezpiecznie w swoim warsztacie. Trochę się awanturuje, ale nie ma dość energii, aby się zmienić w poltergeista. Może sobie gadać. Tam się coś złego zaległo i nie będę ryzykować, że mi ślubnego po pięćdziesięciu ośmiu latach zeżre. Żona czasem musi myśleć za męża, gdy mu akurat rozum zaćmi.

As nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dobrze, pani Kaziu, to może mi pani opowie wszystko o właścicielu szóstki.

– Nie ma wiele do gadania, drogi chłopcze, bo to takie ciche chłopiątko... Filolog – powiedziała tonem głębokiego

współczucia – chudziutki taki, anemiczny, tylko w książkach siedzi. Ani dziewczyny nie ma, ani chłopca, gdyby tak wolał. Sam całe dnie, odkąd zmarła ciotka Emilia, która go wychowywała. Jego rodzice niezbyt sobie z dzieckiem radzili, więc podrzucili Emilce, bo to była dusza kobieta, a własnego potomstwa mieć nie mogła. Potem coś im się stało, nie jestem pewna... chyba jakiś wypadek samochodowy? To z piętnaście lat temu było, ale niespecjalnie się tym przejęłam, bo ledwie ich znałam. No i od śmierci Emilki (a to akurat pamiętam dobrze, dwa lata będzie w lipcu, udar, dobra kobieta, ale nadciśnienie miała okropne...), więc ten chłopiec po jej śmierci całkiem zdziwaczał. Odizolował się kompletnie. Z nikim w kamienicy się nie zżył, z nikim nie utrzymuje kontaktu. Nawet na zakupy nie wychodzi, przywożą mu ze sklepu z dostawą, choć to przecież drożej, nawet dwadzieścia procent sobie doliczają, i to poza opłatą dla kierowcy!

Pokręciła głową z dezaprobatą, a As niemal oczekiwał, że zapyta, czy mógłby coś zrobić z tym zdzierstwem, bo to po prostu niegodziwe. Upiła łyk herbaty i wróciła do tematu:

– Niby zawsze się grzecznie witał... A skoro o tym mowa, od dawna go nie widziałam. Może dwa, trzy miesiące? Ale dostawy ze sklepu przychodzą, czyli skoro płaci i je, to pewnie żyje. – Zamyśliła się. – Bo zombie chyba nie jedzą? To znaczy jarzyn nie jedzą?

– A jak się nazywa ten chłoptaş? – zapytał As, który był blisko poznania nawyków żywieniowych podejrzanego, a wciąż nie miał podstawowych danych.

– Juliusz Karaś, Julek na niego wołaliśmy. Nielekko żyć z takim imieniem, ale jego rodzice byli też z tych, no... akademików. – Znowu pokręciła głową z lekką dezaprobatą.

Pani Kazia z informatorki awansowała na pomocniczkę, kiedy przez ostatnie dni dyskretnie sugerowała sąsiadom, że

zbliża się dzień, w którym warto byłoby się wybrać na wycieczkę. A jeśli zdecydują się zostać w domu, powinni starannie zamknąć drzwi i nie wychodzić na korytarz, cokolwiek by się na nim działo.

Ta zapowiedź musiała zrobić wrażenie albo pani Kazia miała faktyczny posłuch, bo prawie wszyscy lokatorzy posłusznie opuścili mieszkania, a z pozostałych żaden nie wychylił nosa, kiedy wchodziliśmy na czwarte piętro.

Byliśmy ostrożni, uzbrojeni i przygotowani na najgorsze. Poza melodią wygrywaną przez Witkaca nie słyszałam żadnych niepokojących dźwięków. Martwiłam się, czy głos bębna nie przyciągnie uwagi podejrzanego lub mieszkańców okolicy, ale to był Thorn, nie takie rzeczy ludzie słyszeli. Bez przeszkód dotarliśmy pod drzwi oznaczone numerem sześć.

Nawet bez znaku widzenia dostrzegłam, że ociekają demoniczną energią, emanują nią jak nagrzaną piec ciepłem. Gdyby As nie trzymał się z daleka, by nie spłoszyć demona, nie potrzebowałby wskazówek pani Kazi. Biała wiedźma pewnie miałaby problem z oparami i zapachem, ja mieszkałam z diabłem i spędzałam sporo czasu z piekielnikami. Purpurowe i bordowe macki, wyrastające ze skomplikowanego sigila narysowanego na drzwiach, rozlewały się na ścianach wokół framugi. Cokolwiek było po drugiej stronie, musiało być potężne albo przeprowadzono tam rytuały generujące mnóstwo magii. Mimo to z mieszkania nie dobiegały nas właściwie żadne dźwięki, nic też agresywnie nie powstrzymywało nas przed wkroczeniem na swoje terytorium. Jakby jedyną ochronę tego, co znajdowało się wewnątrz, stanowiły duchy, teraz przywołane przez Witkacego.

Przez chwilę po prostu patrzyliśmy z Asem po sobie, zaskoczeni. Nie spodziewałam się, że dotrzemy bez przeszkód

tak daleko. Właściwe wypadło zapukać, zanim zaczniemy siłą forsować wejście!

As nacisnął klamkę i mieszkanie stanęło przed nami otworem. Zapach siarki się wzmógł. Oddychanie miazmatami nagromadzonej przez miesiące demonicznej magii było średnio przyjemne, ale bardziej drażnił odór dawno niewynoszonych śmieci, psujących się resztek jedzenia, fermentujących owoców i zwietrzałego alkoholu. W korytarzu wały się pudełka po pizzy i worki z odpadami, ale nie dostrzegłam zwłok, plam krwi czy zniszczeń. Nasłuchiwalismy, spodziewając się, że ledwie przekroczymy próg, coś nam wybuchnie w twarz. Lecz znak widzenia nie ujawnił żadnych pułapek czy zaklęć.

Weszliśmy: ja pierwsza, As zabezpieczał tyły. Kiedy jak zamurowana zatrzymałam się w pół kroku, nie zdążył wyhamować i wpadł na mnie z impetem.

– Co do... – zaczął, ale nie skończył, bo tak jak ja zauważył niecodzienną scenę, która rozgrywała się przed naszymi oczami.

Pokój był przestronny i wysoki, jak zwykle w starych kamienicach. Na ścianie na wprost drzwi znajdowały się dwa duże okna, ale padało z nich niewiele światła, bo na parapetach piętrzyły się stosy książek. Zresztą wszędzie było ich mnóstwo. Gęsto wypełniono nimi regały ustawione przy pozostałych ścianach, stojący na środku pomieszczenia ogromny stół również niknął pod stosami woluminów, przez co ledwie dało się dostrzec zza nich gospodarza – chudego młodzieńca, który w blasku zielonej bankowej lampy czytał stary zwój. W kącie, wciśnięty między dwa regały, stał tapczan, na którym w skotłowanej pościeli leżał demon. W jednej ręce trzymał butelkę wódki, w drugiej zaś tablet, na którym oglądał porno – nawet z odległości, jaka nas dzieliła, nie miałam wątpliwości, co

widzę na ekranie. Cieszyłam się, że nie ma trzeciej ręki, bo łatwo zgadnąć, co by nią teraz robił.

Żaden z zastanych domowników nie zwrócił na nas uwagi. Chłopak był tak zaczytany, że mogłabym strzelać z armaty, a pewnie nie uniósłby głowy. Demon głośno chichotał, gdy aktor zaczął jęczeć w momencie szczytowania.

– Ludzie są tacy zabawni – wymamrotał i włączył kolejny filmik.

Popatrzyliśmy na siebie z Asem totalnie zdezorientowani.

– To ten gówniarz – szepnął As.

Odwróciłam się w stronę stołu i dotarł do mnie sens tych słów. W pomieszczeniu to chłopak był najintensywniejszym źródłem demonicznej energii. Chyba on...

– To książki! – olśniło mnie.

– O skurczysyn! To on! Złodziej książek! – Oczy Asa rozbłyły czerwienią.

– Przecież nie dostałby się do piekła i nie włamał do Baala, prędzej tamten mu pomógł. – Wskazałam na demona, który właśnie śledził nietypowy przebieg wizyty hydraulika.

As, mamrocząc coś pod nosem, podszedł do tapczanu i szarpnął demona za włosy, a dokładnie za trzy warkoczyki splecione na skroni. Ten zerwał się wkurzony.

– No hej, szacunku trochę, gówniarzu! – warknął. Trzy sekundy później zorientował się, że nie patrzy na Juliusza, lecz na Asa, demona znacznie wyższej klasy niż on sam. – Oj – wybąkał elokwentnie.

– No oj, kurwa jego mać, w dupę kopany! Wyniosłeś te wszystkie książki z piekła?! Czyś ty na głowę upadł?! Cała kamienica świeci demoniczną magią! – wrzasnął na niego As.

Demon gwałtownie potrząsnął głową. Miał może metr osiemdziesiąt i szczupłe, żyłaste ciało. W dżinsach i bluzie z kapturem, z długimi, przetłuszczonymi czarnymi włosami, do

tego na bosaka, nie tylko nie wydawał się specjalnym zagrożeniem, ale i mógłby uchodzić za człowieka. Nawet jego oczy były bardziej brązowe niż czarne, prawie ludzkie.

– Musiałem, stary, musiałem! – Otrzeźwiał na tyle, by mówić nieco wyraźniej. – Przywołał mnie, zamknął w kręgu i, no wiesz, zmusił do posłuszeństwa.

As spojrzał na dzieciaka, który mimo wrzasków nie oderwał się od lektury.

– Jasne, już to widzę. Za dobrze się bawisz jak na kontrakt niewolniczy.

Demon nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Nie mówię, że niewolniczy, ale wezwał mnie i w ogóle, bardzo ładnie poprosił. Zwyczajnie nie wypadało odmówić.

Oto stał przed nami demon chaosu w pełnej chwale. Nie musiał – po prostu zgodził się dla czystej rozrywki.

– Wiesz, dzieciak nie chciał nie wiadomo czego, to nie tak, że zażądał siedemdziesięciu siedmiu dziewic! Pragnął się tylko nauczyć tego i owego, trochę poczytać. Edukacja jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Taaa, tak się będziesz Baalowi tłumaczył. Znowu – warknął As.

– Ty go znasz – zauważyłam.

– Nawet jesteśmy spokrewnieni – powiedział z uśmiechem demon chaosu. Im bardziej się szczerzył, tym głośniej As zgrzytał zębami.

– To Loeb, mogę ci zresztą dać jego pełne imię – zwrócił się do mnie As. – Jeśli go przeczołgasz, nawet jego rodzina się za nim nie wstawi. Recydywista i zadymiarz. Na zwolnieniu warunkowym, o czym chyba zapomniał.

Loeb uniósł ręce w geście niewinności.

– Stary, wezwał mnie! Co miałem zrobić? Wysłać ci liścik z informacją, że znajdziesz mnie w krzywym pentagramie

gdzieś w Thornie? No nie rób kurwy z logiki!

Choć brzmiało to absurdalnie, uwierzyłam mu.

As uniósł tylko brew i podszedł do stołu. Przeglądając skradzione księgi, powiedział:

– Do tej Luc jest szczerze przywiązany, czytał ją wnukowi na dobranoc. A tę zajebałeś Baalowi...

Dopiero kiedy As dotknął książek, chłopak uniósł głowę znad zwoju i zamrugął zaskoczony, jakby właśnie do niego dotarło, że w jego mieszkaniu stoi dwoje obcych ludzi.

– Nie dotykaj, to moje książki! – powiedział twardo.

– Chuja twoje, ukradzione, więc wrócą do prawowitych właścicieli – odparował As, nie przestając przeglądać stosów.

– Zostaw moje książki! – krzyknął głośniejszy młody, a gdy As nie zwrócił na niego uwagi, złapał czerwony flamaster i na podłodze, tuż przy koślawym pentagramie, zaczął coś pisać.

Zaniepokojona obeszłam stół i zerknęłam na to, co tam skrobał. Pismo miał koszmarnie nieczytelne i kulfoniaste, więc z trudem odczytałam słowa:

– *Swine gatoe ignominia*? To nie ma żadnego sensu.

As mruknął: „To niemożliwe”, po czym podszedł do bazgrzącego na podłodze chłopaka, który właśnie kończył zaklęcie sigilami otwarcia i przywołania. Oba były bez wątpienia poprawne.

Nagły huk wprowadził szyby w drżenie. Pęd powietrza prawie mnie przewrócił. Odskokczyłam od pentagramu i zawołałam do Asa:

– Co on przywołuje?!

Zanim demon odpowiedział, w czerwonym błysku pojawił się pierwszy... Bogowie, co to, u diabła, było?!

– Nie daj się ugryźć. I nie zabijaj! To cholerstwo jest pod ochroną i jest bardzo cenne. Nie wypłacisz się właścicielowi. –

I rzucił się, by łapać wielką świnię, pokrytą czarną, lśniąca jak ropa naftowa sierścią, z długimi na dwadzieścia centymetrów kłami i oczami płonącymi żywym ogniem.

Za pierwszą zaczęły się pojawiać kolejne. Nagle całe pomieszczenie zaroilo się od świń – czy może dzików? Jedne były rosłe, inne zaś niewielkie, można powiedzieć, że mieliśmy przed sobą demoniczne warchlaczk! Może nawet uznałabym, że są słodkie, ale jeden ruszył w stronę drzwi i rozniósł je w drzazgi trzema uderzeniami łebka.

Loeb złapał jakiegoś prosiaka ułamek sekundy wcześniej, zanim ten zdążył wbić mu zęby w łydkę.

– No, As, na twoim miejscu to ja bym je szybciotko odniósł do Gruda, zanim im się tu krzywda stanie – rzekł, chichocząc.

– Wyłap je, a może dożyjesz dzisiejszej nocy – odwarknął As, siedząc okrakiem na wielkiej świni. Sekundę później powietrze zamigotało szkarłatnym blaskiem, a on teleportował się ze zwierzakiem do piekła.

– Jeżeli As cię nie zabije, ja to zrobię, jeśli nie pomożesz! – zagroziłam i rzuciłam się do łapania świniaków.

Kto by pomyślał, że okażą się tak szybkie i zwinne? Złapałam dwa prosiaki, trzymałam je pod pachami niczym maltańczyki i zastanawiałam się, co, u diaska, z nimi zrobić, podczas gdy reszta roznosiła pokój na strzępy. Między regałami zauważyłam drewniane drzwi. Łazienka! Idealnie się nada na kojec dla prosków. Nacisnęłam klamkę i w tym samym momencie usłyszałam za sobą krzyk Loeba:

– Nie wypuszczaj go!

Czymkolwiek był „on”, wyskoczył ze środka jak czerwona smuga, a ja wepchnęłam do wewnątrz dwa warchlaki i zatrzasnęłam drzwi.

– Co to było? – zawołałam, rozglądając się po pokoju w poszukiwaniu stwora, który się wymknął z łazienki.

– Svolak, powodzenia – mruknął demon i podał mi prosiątko.

Uwięziłam je w łazience i zaczęłam wylapywać następne. Zakląłam w duchu. Gdzieś wyczytałam, że svolaki to piekielne małpiatki, złośliwe i niebezpieczne. Nigdy żadnego nie spotkałam, podobno były rzadkie. Po kiego grzyba ktoś trzyma takie stworzenie w łazience? Czy chciałam wiedzieć, gdzie chodzili za potrzebą, skoro z łazienki zrobili klatkę dla svolaka?

Juliusz rzucił się w kierunku warchlaka, który dorwał się do książki i zaczął ją międlić zębiskami. Młody filolog gotów był zasłonić księgę własną piersią, ale świniak, jeden z tych większych i bardziej agresywnych, wbił mu długi kiel w przedramię, najwyraźniej zdecydowany walczyć o oprawiony w zieloną skórę zielnik. Z trudem dźwignęłam ważącą dobre pięćdziesiąt kilogramów świnię i niczym nieporęczną, śliską baryłkę zatachałam do łazienki. Uderzała szablami w drzwi, ale te – wykonane z litego drewna – wytrzymały.

Wylapywałam kolejne prosiaki, spocona i zgrzana jak lokomotywa, i pakowałam je do łazienki. Loeb pomagał, powiedzmy, niezbyt entuzjastycznie. Gdy któreś prosię zaczynało go atakować, podnosił je i trzymając w wyciągniętych przed siebie rękach, przekazywał mnie.

Juliusz leżał na podłodze, czerwony na twarzy, i zanosił się płaczem. Nie miałam pojęcia, czy ugryzienie demonicznej świni jest bardziej bolesne niż zwykłej, ale postanowiłam nie sprawdzać tego na sobie.

As pojawił się, gdy sześć prosiaków było już zamkniętych w łazience, a trzy biegały po pokoju. Ile uciekło na zewnątrz?

– Nie spieszyłeś się – warknęłam.

– Musiałem przekonać właściciela tych małych bękartów, że to nie ja ukradłem mu cenne stado, ale ktoś otworzył portal do piekła specjalnie po to, by wypuścić jego pupilów między ludzi.

Wiesz, co powiedział? Żebyśmy ich za bardzo nie ganiłi, bo jak się spocą, to schudną. I w ogóle będą gorzej przybierać na wadze.

– Będę to miała na względzie. Następnym razem – odparłam i rzuciłam się na świniaka, który przebiegł rączym truchtem pod stołem i skierował się w stronę drzwi wejściowych.

As, zamiast zabrać schwytane świnię do piekła, przyklęknął przed Juliuszem.

– Co mu zrobiłaś? Czemu tak beczy?! – zawołał w moją stronę.

– Kłócił się ze świnią o przekąskę i go ugryzła! – odkrzyknęłam z podłogi, bo mała kanalia wyprowadziła mnie w pole i grzmotnęłam jak długa.

As, przeklinając, postawił Juliusza na nogi. Chłopak nie potrafił ustać o własnych siłach. Z czerwoną twarzą, usmarkany i ubeczany, wyglądał żałośnie, ale to, że na szyi i skroniach pojawiły mu się czarne, wypukłe naczynia krwionośne, było co najmniej niepokojące.

– Muszę go podrzucić do piekła, zanim zejdzie – powiedział demon, po czym teleportował się razem z dzieciakiem.

– Coś z nim nie tak? – zapytałam Loeba.

– Spytaj, co z tym gościem było w porządku, będzie szybciej. – Zarechotał. – Najzabawniejszy i najżałośniejszy koleś, jakiego w życiu spotkałem. – Poklepał się po udach, zaśmiewając się. – No wieża Babel po prostu, pomieszanie języków, dysleksja, brak priorytetów...

– A te żyły?

– Ach, to od ugryzienia świniaków. Nie daj się dziabnąć, bo zatruwają krew – powiedział.

Przydatna informacja po tym, jak siłowałam się już z paroma – a kilka wciąż czekało na złapanie. Zza drzwi do łazienki słyszałam rumor i odgłos uderzania twardymi łbami w kafelki. Miałam nadzieję, że świnię nie są tak cwane jak

szczury. Te mniejsze zmieściłyby się pewnie w rurach kanalizacyjnych... A potem urosłyby, zaczęły jeść ludzkie mięso i ziać ogniem, o ile dobrze zidentyfikowałam rasę. Czytałam, że celtyccy bogowie lubowali się w demonicznych dzikach, i miałam dziwną pewność, że spotkałam właśnie tę odmianę – szczęśliwie dla mnie, były w wieku żłobkowym, nie dość wyrośnięte, by trutować wrogie oddziały zbrojnych.

Zanim As wrócił, dopadłam i zamknęłam w łazience trzy kolejne.

– Powinno być ich szesnaście – powiedział. – Niektóre musiały wyjść z mieszkania albo nie trafiły dokładnie w pentagram. Wyłap je, bo inaczej się nie wypłacimy.

Zabrał dwa świniaki i zniknął. A ja ruszyłam na dalsze łowy.

Dużo wyraźniej niż wcześniej słyszałam dźwięk bębna Witkaca. Stałam tuż przy schodach, nasłuchując chrumkania, kiedy dobiegło mnie głośnie:

– Dora!

Zbiegłam, przeskakując po kilka stopni.

– Czego ci trzeba? – zapytałam. Wyglądał jak śmierć na chorągwi, błękit eteru podświetlał go upiornie, a wokół niego migiała energia, którą kojarzyłam z duchami.

– Krąg, co najmniej pięć metrów, wokół mnie! Nie mogę przestać grać! – odkrzyknął.

Wyciągnęłam z kieszeni mazak olejowy i zaczęłam rysować. Nie widziałam duchów, ale gdy mróz kęsał mi dłoń, ciągnęłam linię szerzej. Krąg był okropny i krzywy, nawet nie przypominał koła, ale nie musiał, bylebym zdołała go zamknąć. Ledwie zetknęły się początek i koniec, poczułam, że magia Witkaca przejmuje kontrolę nad kręgiem. Zimno prześlizgnęło mi się wzdłuż kręgosłupa, zapach ziół przyćmił wszystko inne. Mój przyjaciel, siedząc po turecku, stukał tamburynem o udo i rysował dodatkowe sigile na płytach chodnikowych. Gdzie, do

kurwy nędzy, podział się Sęp? – zastanawiałam się, spoglądając na ulicę. Nie było go ani na masce jeepa, ani nigdzie w okolicy. Harley też zniknął.

Nagle poczułam coś dziwnego, jakby obecność. Jakaś magia prześlizgnęła mi się po skórze i na chwilę zabrakło mi tchu. Była bez dwóch zdań wroga i próbowała mnie zastraszyć. Starannie omijając krąg wyrysowany wokół Witkaca, wyszłam na środek ulicy.

Nieprzyjemne wrażenie minęło. Znów się rozejrzałam, ale dostrzegłam tylko Mirona, parkującego naszą ravkę kawałek dalej.

– Pospiesz się, piekielne nasienie, są prosiaki do złapania! – zawołałam.

Pomachał mi i zatrzasnął za sobą drzwi. Ruszył w moją stronę z tym diabelnie seksownym uśmiechem.

– To jakiś kod na erotyczne zabawy? – zapytał.

– Nie, prawdziwe demoniczne prosiaczki. – Wyszczерzyłam się.

– Nie daj się im ugryźć!

– Taaa, As coś wspominał.

Miron pokręcił głową i objął mnie ramieniem. Wyminęliśmy Witkaca, który nie był w stanie nas zobaczyć, bo oczy uciekły mu w głąb czaszki. Skończył już rysowanie sigili i zamienił tamburyn na bęben. Nie byłam pewna, czy wciąż siedzi na ziemi, czy lewituje, w każdym razie wydawał się wyższy i potężniejszy niż kiedykolwiek. Muzyka, którą grał, przyprawiała mnie o ciarki, włoski stanęły mi dęba.

Po wejściu do kamienicy zaczęłam się rozglądać, wypatrując świniaków. Cieszyłam się, że jest ze mną Miron, bo przeczuwałam, że uciekły te największe.

Usłyszałam skrzypnięcie drzwi i szuranie. Pani Kazia – w szlafroku, papuciach i lokówkach pod kolorowym czepkiem –

niosła w dłoniach prosię wielkości spalonego kocura.

– To chyba wasze? Zostawiłabym sobie na szyneczkę, ale świniobicie bez Ambrożego już nie jest takie zabawne. No i nie wiem, czy one są jadalne.

– Nie są. I mają wściekłego, mściwego właściciela – wyjaśniłam.

– A to nie, co innego upolować, co innego ukraść. Skończycie do osiemnastej? Serial mi się zacznie, a w tym hałasie ciężko oglądać – poskarżyła się.

– O szesnastej będzie po wszystkim – zapewniłam, przypominając sobie, że Witkacy ma odebrać córkę. Duchy, demony i piekielne świniaki nie zdołają go powstrzymać przed dotrzymaniem obietnicy.

– No dobrze. – Pokiwała głową i niemal rzuciła we mnie warchlakiem. Złapałam go i szybko obróciłam tak, by żadna część mojego ciała nie znajdowała się w zasięgu jego ostrych zębów.

Pani Kazia wróciła do mieszkania, zatrzaskując drzwi, i głośno przekręciła klucz w zamku. Nikt poza nią nie myślał o wyglądaniu na korytarz. Nagle usłyszałam donośne „kwiiiiik, kwiiiiik” piętro wyżej i głośne uderzenia o drewniane drzwi. Pognałam po schodach, a Miron za mną.

Chwilę później, klęcząc, siłował się ze śliską diabelską świnią i mamrotał:

– Dziki ludojady... Jakim cudem zawsze się wpakujesz w takie gówno?

– Nie marudź. Jeśli nie zdołasz teleportować się z nią do piekła, musisz ją wnieść do łazienki na czwartym piętrze, pod szóstką...

– Oczywiście, że nie zdołam! Kto w ogóle teleportowałby się z prosiakami do piekła?

Kilka sekund później na korytarzu przed mieszkaniem numer sześć pojawił się As. Bez słowa kiwnął Mironowi, przejął od niego świnię i zniknął.

– Po co ja w ogóle pytam? – mruknął Miron.

– Uważaj, grasuje tu też svolak. I demon chaosu – dodałam.

– No tak, oczywiście – rzucił z przekąsem.

Z głośnym kwikiem przebiegła koło nas następna świnią. Jej płonące czerwone ślepia jarzyły się w ciemnym korytarzu. Miron westchnął i ruszył za nią.

– Biegiem, one są szybsze, niż wskazuje logika! – krzyknęłam i popędziłam za nim, bo zza załomu korytarza usłyszałam kolejne pochrumkiwania i kwiki.

Na czworakach ścisnęłam prosię, Miron trzymał drugie, większe, gdy nagle gdzieś nad moją głową rozległ się donośny pisk i coś śmignęło mi tuż ponad ramieniem. Nie zdążyłam się uchylić i palący ogniem ból rozlał mi się po łydce. Puściłam świniaka i złapałam za kark małpiatki. Jej bordowe futro było śliskie, więc z trudem zaciskałam palce na fałdce skóry na karku, kiedy odciągałam ją od swojej nogi. Spodnie nasiąkały mi krwią, a ból był absolutnie niewspółmierny do śladów po małych ząbkach. Przeklinając, trzymałam stworka w wyciągniętych rękach.

– Co to robi?! – wrzasnęłam do Mirona.

– To svolak.

– Wiem, ale czemu to ugryzienie tak cholernie boli?!

– Oczywiście pozwoliłaś mu się ugryźć – westchnął z rezygnacją.

– Nie bardzo dał mi wybór! – ucięłam. – Noga boli, jakby miała odpaść, chyba nie czernieje jak po ugryzieniu piekielnych prosiaków?

– To złośliwy sukinsyn. Znajduje u ofiary słaby punkt i właśnie tam gryzie. Pociesz się, że twoim najsłabszym

punktem najwyraźniej jest świeżo zagojona noga. Mogło być gorzej.

Wstałam i próbowałam przenieść ciężar ciała na ranną nogę. Przed oczami rozbłysły mi gwiazdy, a kolano się pode mną ugięło.

– No to chyba dla mnie koniec akcji z prosiakami – oznajmiłam. – Pójdę popilnować demona, żeby, no wiesz, nie narobił więcej chaosu. A ty baw się tu grzecznie ze świnkami. O, i svolaka też możesz sobie wziąć...

Akurat w tej chwili wrócił As, więc diabeł wcisnął mu najpierw wielkiego świniaka, a potem małpiatkę.

– Dałaś się ugryźć? – prychnął demon.

– Wal się. I wracaj szybko, nie mamy całego dnia, a ty się babrzesz z tą teleportacją. Nie baw się z nimi, tylko wracaj po następne!

– Ale, mamó, one są takie słooooodkie... – zajęczał As, przewracając oczami.

Choć zniknął, jeszcze przez chwilę słyszałam jego złośliwy śmiech.

– Zero szacunku – mamrotałam, kuśtykając do mieszkania numer sześć. Musiałam się podpierać o ścianę. Noga bolała tak, jakbym ją dopiero złamała. Jemioła mnie zamorduje. – Zejdź mi z drogi! – warknęłam na świniaka, który wyrósł przede mną w przedsionku mieszkania. O dziwo, posłuchał.

WITKACY

Wstałem. Nogi się pode mną trzęsły, pot spływał po plecach, koszula kleiła się do ciała. Dyszałem, jakbym właśnie przebiegł maraton. Palce pobielały mi i zdrętwiały od zaciskania ich na uchwycie bębna i na pałce, ale mogłem grać dla następnych duchów, jeśli jakieś czekały na podwózkę do Zaświatów. Wyszedłem z kręgu, przerywając jego ciągłość, i ruszyłem w stronę schodów.

Co to, u diabła, za hałasy? – pomyślałem, słysząc coś, co brzmiało jak wściekłe... chrumkanie? Nagle zza drzwi wypadła wielka, czarna, kudłata świnia, czy może dzik, sądząc po długich kłach. A za nią pojawił się Miron, który rzucił się na zwierzę i przycisnął je do podłogi, oplatając ramionami.

– Pomóc? – zapytałem ostrożnie.

Pokręcił głową.

– To demony, nie dotykaj! I nie daj się ugryźć! – wysapał, wciąż walcząc z wijącą się świnia, która chyba pokryta była warstwą tłuszczu, bo wyslizgiwała się z uchwytu. – Nie uciekaj, głupia, zaraz będziesz w domu! – zaklinał ją i prawie rzucił nią w Asa, który nagle pojawił się w korytarzu w rozbłysku purpurowego światła.

– Jeszcze dwa – powiedział demon, łapiąc świnie, po czym zniknął.

Miron wymemlał pod nosem jakieś przekleństwo i słowo daję, pokazał środkowy palec w kierunku miejsca, gdzie jeszcze chwilę temu stał As.

– Tam chyba jest jeszcze twoja działka. – Kiwnął ręką na koniec korytarza. – Albo mają tu nietypową klimatyzację i w tamtym kącie jest kilka stopni niższa temperatura... – Urwał,

rzucając się na warchlaczka, który rączym galopkiem wybiegł z za drzwi prosto na ulicę, kwicząc tak przeraźliwie, że rozdzwoniło mi się w uszach. Czyżby roztaczał wokół siebie woń siarki?

Stado szalonych duchów nagle przestało mi się wydawać takie uciążliwe.

DORA

Dostałam się do środka, ale musiałam praktycznie doskoczyć na zdrowej nodze do krzesła, gdy zabrakło mi ściany do podpierania. Loeb siedział na łóżku, z dłońmi opuszczonymi na kolana. Nie wyglądał na kogoś, kto szykuje się do ucieczki. Raczej na pogodzonego z tym, że wakacje dobiegły końca.

– No proszę, ktoś się dał ugryźć svolakowi – powiedział z głupim uśmieszkiem, kiedy dotarłam do krzesła.

– Ktoś tu powinien się bardziej martwić o własny tyłek. Solidnie nawywijałeś – odcięłam się bez finezji.

– No nie, właściwie nie nawywijałem. Przecież nic z tego nie idzie na moje konto. Zostałem wezwany przez kogoś, kto użył mojego pełnego imienia... Chyba powinnaś pamiętać, jak to jest, nie? Jak wiele As miał do powiedzenia, kiedy mu to zrobiłaś? I potem, gdy mu coś rozkazałaś? – zapytał.

Ałć, nie tylko svolak potrafił wgryźć się w słaby punkt.

– Sprawy między mną a Asem cię nie dotyczą. I właściwie skąd on znał twoje imię?

Przyznaję, pomyślałam, że Loeb jakoś wrobił dzieciaka. Nie spodziewałam się, że zamiast tego usłyszę:

– Dysleksja... albo jakaś wersja boskiej klątwy, wiesz, jak w wieży Babel. Pomieszanie języków? Nie wiem, ale sporo się nad tym zastanawiałem. Albo kogoś mocno wkurzył, albo jego starzy dorobili się wrogów. A może dzieciak spadł z huśtawki o jeden raz za dużo? Jest bez wątpienia genialny, serio, zna chyba z piętnaście języków. Ma łeb jak sklep, tylko nic w nim nie działa, jak powinno. Sięgasz do szuflady z pościelą i znajdujesz w środku żywego kraba grającego w karty z kotem. Tak to wygląda.

Pokręciłam głową, pewna, że przesadza, on jednak był gotów dowieść mi swoich racji.

– Słuchaj, spędziłem z nim kilka miesięcy. Przez ten czas widziałem wszystko i nie przestaję się dziwić. Wiesz, jakim cudem zdołał mnie wezwać?

– Zaskocz mnie.

– Wcale nie próbował tego zrobić! Chciał wezwać, uwaga, ducha, nie demona, i nie mnie, tylko Lovecrafta, ale gdy zaczął pisać na podłodze, żadna litera nie trafiła w to miejsce, w które powinna, i jakimś cudem napisał poprawnie moje pełne imię. Którego nie miał prawa znać ani gdziekolwiek przeczytać. Po prostu klątwa.

– To jest niemożliwe – zaprotestowałam.

– Nie dla niego. Myślisz, że chciał wezwać z piekła świnię? I że chciał się spalić ze wstydu?

– No dobra, to akurat mnie zastanawia...

– Chciał ściągnąć tu *swarm*, bojowy rój. I jeśli mam zgadywać, ognisty krąg... Myślę, że pomieszał *ignis* z *ignominia*, co zaskakuje mnie tylko o tyle, że zdołał trzymać się jednego języka. Zwykle startuje w jednym, a kończy w innym: zaczyna od *fuego*, a kończy z miską pszenicy, bo napisał *farro*. Nie spotkałem się z czymś takim. Jego mózg jest jak maszyna losująca, nigdy nie wiadomo, co wypadnie.

– To właściwie brzmi jak klątwa – przyznałam.

– Próbował mi wmówić, że to tylko dysleksja, ma na nią jakieś papiery, ale w tych poradniach pedagogicznych, o których mi mówił, raczej nie mają pojęcia o egzorcyzmach, klątwach czy przekleństwach. Chyba go nie zabiją, co? – zapytał po chwili z wyraźną troską.

– Kto?

– No nie wiem, Baal, Luc, czy komu tam podpadł.

– Oni do niego nic nie mają. Mają za to sporo do ciebie. Wiesz, te włamania...

– Prosił o książki! Żadnej nie zniszczył! Dbał o nie jak o własne! A u nich się kurzyły! Nie wziąłem nic szczególnie niebezpiecznego. Poza tym przecież by ich nie użył! Myli się w prostych, dwusylabowych słowach w językach nowożytnych, pisanych zwykłym alfabetem, więc jak oceniasz prawdopodobieństwo, że opanowałby bezbłędnie język demoniczny? Nawet z niemieckim radzi sobie gorzej niż z łaciną.

– Opętaliście cały dom, budynek świeci jak czerwona latarnia – przypomniałam, bo zaczęłam mięknąć.

– No niby tak, ale przecież na drzwiach pozostałych mieszkańców zostawiłem pieczęcie, byli bezpieczni...

Zmrużyłam oczy, bo nie zauważyłam żadnych pieczęci. Wstałam i dokuśtykałam do drzwi. Korytarzem, w stronę schodów, przebiegł warchlak wielkości dorosłego labradora. Gdy zobaczył Mirona czającego się na niego na półpietrze, spróbował zawrócić, ale raciczki się pod nim rozjechały. Diabeł zwinnie chwycił go i uniósł, trzymając palce z dala od kłapiących zębów.

– Brawo, skarbie! – zawołałam. – Dziesięć punktów dla piekła!

– Przez to wszystko zrobiłem się głodny! – odkrzyknął. – Dziś na obiad schabowe!

Prosiak, kwicząc, desperacko zaczął się wić w jego ramionach, jakby myślał, że to on skończy na talerzu.

– Nie drzyj ryjka, głupi, ty wracasz do piekła i nażresz się żołądź do rozpęku – pocieszył go Miron.

Świniak wyraźnie się uspokoił. Może wcale mu się w Thornie nie podobało?

Dokuśtykałam do mieszkania numer siedem. Faktycznie, nad górną framugą czarnym atramentem wypisana była bardzo

podstawowa, ale skuteczna pieczęć ochronna. To wyjaśniało, dlaczego żaden z mieszkańców nie nosił w sobie ciemności ani nie przyciągnął przez te miesiące niczego, co zdolne byłoby do opętania człowieka.

As pojawił się w siarczanych oparach, wyraźnie zmęczony. Tyle tur teleportacji musiało mu zezreć masę energii. Miron podał mu prosiaka.

– To ostatni? – zapytał.

– Szesnasty – przytaknął As. – Jeśli jakieś się tu jeszcze ukrywają, właściciel sam się musi pofatygować. Wrócę po Loeba i księgi – oznajmił i zniknął.

Podpierając się na ramieniu Mirona, wróciłam do mieszkania numer sześć. Loeb nigdzie się nie wybierał. Zamiast tego wykazywał wolę współpracy, pakując księgi i zwoje do dwóch starych, skórzanych walizek i torby sportowej. Chyba się zorientował, że z powodu tych woluminów może dostać najdłuższy możliwy wyrok.

– Wszystkie są w idealnym stanie – zapewnił. – Zabierzcie też jego notatki, bogowie raczą wiedzieć, co wyszło z jego poprzekręcanych zaklęć.

– To akurat jest niezły pomysł – przyznałam.

Nie takiego finału tej przygody się spodziewałam, ale czy w sumie miałam na co narzekać – poza tym, że znów napierdziała mnie noga? Wątpiłam, by Jemioła mi uwierzyła, że winę za moje obrażenia ponosi dysleksja i piekielna małpiatka.

WITKACY

Byłem zmordowany. Gdybym miał skrót, łyknąłbym ze dwie, może trzy kapsułki i po dwóch godzinach byłbym jak nowo narodzony, a przynajmniej mniej wyżęty i wypluty, ale się zgapiłem i nie uzupełniłem zapasu. Musiałem zdać się na opary, determinację i nadzieję, że duchy, które się oparły wabikowi bębna i przez to nie weszły w krąg wyrysowany przez Dorę, nie będą się opierać. Taaa, bo dotąd tak fantastycznie współpracowały.

Nie znalazłem ich w korytarzu na pierwszym piętrze, w miejscu wskazanym wcześniej przez Mirona, ale gdzieś się tu kręciły. Mówił mi to mój szamański nos, wyczuwałem ich jeszcze co najmniej cztery.

Zacząłem znów wystukiwać rytm na bębnie, melodię zaproszenia. Znalazłem zguby w kącie, przy mieszkaniu numer jeden. Wcale nie ucieszyły się na mój widok. Musiały szamać demoniczne miazmaty krócej od pozostałych, bo wciąż miały wyraźne rysy z minionego życia. Były nieco bledsze i wydawały się w jakimś stopniu trzeźwe, ale cofnęły się na mój widok. Starszy mężczyzna pod sześćdziesiątkę, w koszuli w kratę i dzwonach zapadających się w kafelki na podłodze, próbował zatykać uszy rękami, jakby mogło to stłumić zew szamańskiej melodii.

– Zbierać się, chłopaki, żaden nie może tu zostać – powiedziałem, nasłuchując ich nut, by wpleść je w melodię bramy.

– Niby czemu? – zapytał ze złością martwy hippis.

– Bo nie zostawię duchów naćpanych demonicznymi miazmatami w domu, w którym mieszkają ludzie i magiczni –

odpowiedziałem. Czułem, że brama się uchyla, nawet zanim jeszcze zacząłem grać jej melodię. Sięgnąłem mentalnie po pasma eteru, by naznaczyć duchy.

– My jesteśmy całkiem normalnymi duchami – zapewnił tęgawy jegomość o okrągłutkiej twarzy i zamaszystych wąsiskach. Byłem pewien, że za życia pracował jako urzędnik, może bankier. Sugerował to czarny surdut w białe prążki.

– Zupełnie niegroźnymi – dodał suchotniczy młodzieniec w poetycko rozchełstanej pasiastej piżamie.

Może nawet bym im uwierzył, machnął ręką i oszczędził te resztki energii, jaka mi została, ale właśnie wtedy As teleportował się do kamienicy i w powietrzu rozszedł się wyraźny swąd siarki, a cała trójka nagle wystawiła nosy i zaczęła się sztachać tym zapachem jak najlepszym *potpourri*. Ich indywidualne melodie brzmiały mi już w głowie w miarę wyraźnie, więc korzystając z ich chwilowej dekoncentracji, wplotłem je w melodię bramy. Błękitne pasma eteru natychmiast obkleiły duchy i wciągnęły je na schody. Tam już grawitacja Zaświatów zrobiła swoje.

Wydawało mi się, że czuję jeszcze jednego. Drzwi do mieszkania numer zero uchyliły się ostrożnie i wyjrzała zza nich głowa pełna fiołkowych loczków.

– Panie szamanie, mojego Ambrożego proszę mi zostawić. Jest normalny, w każdym razie jak na siebie. Mnie już wiele czasu nie zostało, najwyżej odprowadzi nas pan za jakiś czas – powiedziała pewnym tonem.

A ja nawet się nie zająknąłem, że doskonale wiem, co dostała od Asa za współpracę. Opuściłem. Jeśli Ambroży zacznie wywijać, wrócę. Znając jego imię i nazwisko, odeślę go z łatwością. Lecz jeżeli ta kobieta po dwudziestu latach z żywym i ponad trzydziestu z martwym mężem ciągle nie

miała go dosyć, to kimże ja byłem, by psuć im formalnościami zgodne pożycie małżeńskie?

Skinąłem ręką na do widzenia i wyszedłem przed kamienicę. Oparłem się o ścianę i nagle, sam nie wiem jak, siedziałem na chodniku. W głowie mi się kręciło i przed oczami tańczyły mroczki. Przesadziłem... Zacząłem wchłaniać resztki energii z ustawionego wcześniej kręgu, zbłąkane pasma eteru, byle nie zemdleć, nie dać się wydrenować do zera. Jeśli zapadnę w śpiączkę, na pewno nie zdążę odebrać Kurczaczka ze szkoły. Nie zamierzałem psuć sobie relacji z dzieckiem i jego matką, która liczyła, że zapewnię córce bezpieczeństwo przynajmniej do wizyty Harfiarki i aplikacji nowej henny ochronnej. Oddychałem więc ciężko i mrugałem, aż mroczki się rozpierzchły i znów zacząłem widzieć ostro.

– Żyjesz? – zapytała Dora, pochylając się nade mną. Nawet nie wiedziałem, że tu jest. Ani jej diabeł, który przytrzymywał ją, by nie wywinęła orła.

– Ale co to za życie – mruknąłem, dodałem jednak uspokajająco: – To wyczerpanie, nie wydrenowanie.

– Nie ugryzł cię czasem taki małpiatkowaty demonek? One wyłapują słabe punkty i wbijają w nie zęby...

– W takim razie może pognał za Sępem i nigdy więcej go nie zobaczymy? To bez wątpienia był mój słaby punkt – powiedziałem ze złością. Wiedziałem, że nie powinienem się porywać na odesłanie tych wszystkich duchów bez wsparcia, i byłem dość rozsądny, by tego nie zrobić. Niestety wsparcie dało ciała.

– Widziałem go na motorze, kiedy do was jechałem – powiedział Miron.

Zrezygnowany pokręciłem głową. Czy się tego spodziewałem? Nie. Ale czy spodziewałem się czegoś innego? Też nie. Sęp nigdy nie był wzorowym duchem opiekuńczym. Właściwie tylko raz,

krótko po mojej inicjacji w Zaświatach, zdawał się poważniej traktować swoje obowiązki, ale gdy wróciliśmy na ziemię, ten nowo odkryty zapal szybko zaczął się przecierać na szwach. Sęp znów chodził własnymi ścieżkami, znikał na całe noce, nie miał czasu na nauczanie, a także – najwyraźniej – na wspieranie mnie podczas niebezpiecznych akcji.

Gdyby to było możliwe, zmieniłbym go na kogoś innego, wybrał sobie odpowiedzialnego opiekuna. Pieniek czy kamień spisałby się lepiej od Sępa, ale pierwszy wybór był nieodwracalny, nawet jeśli dokonałem go pod presją czasu, nie wiedząc, w co się dokładnie pakuję. Babcia Pajak złośliwie przypomniła mi, że mogłem o to prosić w czasie inicjacji, Orzeł na pewno by się zgodził zastąpić Sępa. Cóż, uznałem, że z dwojga złego lepszy wielki nieobecny niż autentyczna kanalia, która deptałaby mi po piętach, czekając, aż coś solidnie spierdołę.

– Która godzina? – zapytałem. Mój zegarek całkiem się usmażył, a wciąż nie było na tyle bezpiecznie, by włączyć komórkę.

– Kwadrans po trzeciej – powiedział Miron.

Cholera jasna! Zacząłem się zbierać z ziemi.

Dotarłem do samochodu, szarpnąłem za uszkodzoną klamkę. Lodowate igiełki pokąsały mi palce. Co, u diabła? Wtarabaniłem się do środka i przekręciłem kluczyk w stacyjce. Silnik zabuczał, zakaszłał, ale zanim auto ruszyło, maska przed moimi oczami stanęła w ogniu. Tak po prostu, w ułamku sekundy, buchnęły na niej płomienie wysokie na metr. Odwróciłem się, by sięgnąć po gaśnicę, którą woziłem za siedzeniem, a wtedy łokciem trafiłem w klakson i podskoczyłem, słysząc wysoki, przenikliwy dźwięk.

– Miron, zrób coś! – usłyszałem krzyk Dory i zanim pod zwiniętym wełnianym kocem zdążyłem wymacać gaśnicę, diabeł wchłonął w siebie płomienie i podniósł maskę.

Wytoczyłem się z samochodu, spocony z nerwów.

– Co mu się, kurwa, stało? – zapytałem zdeorientowany.

Moje auto było dalekie od ideału czy choćby pełnej sprawności, przegląd przechodziło tylko dlatego, że znajomy mechanik łąał mi w papierach, ale nigdy dotąd nie stanęło w płomieniach!

– Pojęcia nie mam – przyznał Miron. – W środku nie ma ani śladu ognia. Wygląda na to, że paliła się tylko maska, ale nie ma śladu paliwa. Spróbuj znów odpalić silnik. Spokojnie, nie wybuchnie.

Spojrzałem na Dorę, a ona potaknęła:

– Miron jest pyrem. Nie wiem, czy się zna na samochodach, ale na ogniu jak mało kto.

Wróciłem więc za kierownicę i przekręciłem kluczyk. Silnik zaskoczył już za drugim razem. Krztusił się lekko, ale to akurat było u niego normalne. Tym razem ogień się nie pojawił.

– Dobra, jadę po córkę – powiedziałem, ale gaśnicę wsunąłem między siedzenie moje i pasażera. Lepiej mieć ją pod ręką.

DORA

Patrzyłam, jak odjeżdża w obłoku spalin z kaszlącego tłumika.

– Powinien zmienić samochód – powiedziałam, marszcząc brwi.

– A ty powinnaś iść do Jemioły i grzecznie poprosić o pomoc – odparł Miron.

– Żartujesz? Powie: „A nie mówiłam?” i każe mi chodzić na rehabilitację!

– No raczej. Chyba zamierzasz tańczyć na weselu Olafa i Inge?

– Może wystarczy, że będę podpierać ściany? Zabierz mnie do domu, a ja sobie odpocznę i pozrastam tę kostkę – zaproponowałam. W wyobraźni widziałam w oczach Jemioły wyraz absolutnego zawodu i rozczarowania mną.

– Zabiorę cię do domu, jeśli zdołasz zrobić trzy kroki bez skakania – powiedział.

Nie dałam rady zrobić dwóch.

– No widzisz. Teraz muszę cię nieść, bo dałaś się ugryźć svolakowi.

– Nie pytał o pozwolenie! A ty będziesz mnie niósł i jeszcze ci się to będzie podobało! – warknęłam.

Złapał mnie pod kolanami i z łatwością uniósł.

– Może i będzie – mruknął, a w jego głosie pobrzmiwało rozbawienie.

– Jemioła nie może mnie winić za to, że ktoś jest na bakier z ortografią – przekonywałam. – Przecież nie miałam wpływu na to, co się stało.

– Tak, to właśnie jej powiedz. Na pewno będzie wyrozumiała.

Z tęsknotą popatrzyłam w stronę opętanego domu. Bez Loeba, piekielnego księgozbioru, demonicznych prosiaków

i miazmatów demonicznej magii kamienica wyglądała całkiem normalnie. Ani odrobiny zagrożenia do zwalczenia. Niczego, co pozwoliłoby mi odwlec w czasie konfrontację z dezaprobatą Jemioły.

Diabelskie nasienie śmiało się moim kosztem, korzystając z tego, że nie mogłam go szturchnąć bez ryzyka, że mnie upuści.

– Właściwie czemu nie jedziemy samochodem? – zapytałam w chwili olśnienia.

– Bo taka bezradna, niesiona przez ukochanego, masz szansę zmiękczyć choć trochę serce Jemioły. Jeszcze poczuje ulgę, że to tylko noga. A poza tym miałaś rację, to mi się podoba.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

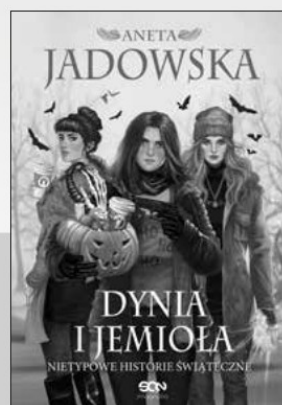
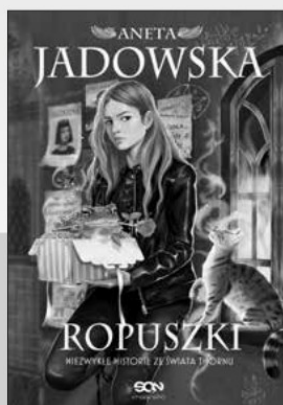
Piekielna ortografia

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL labotiga.pl

